TOMASZ LIPPOMAN

Skarby Podlasia

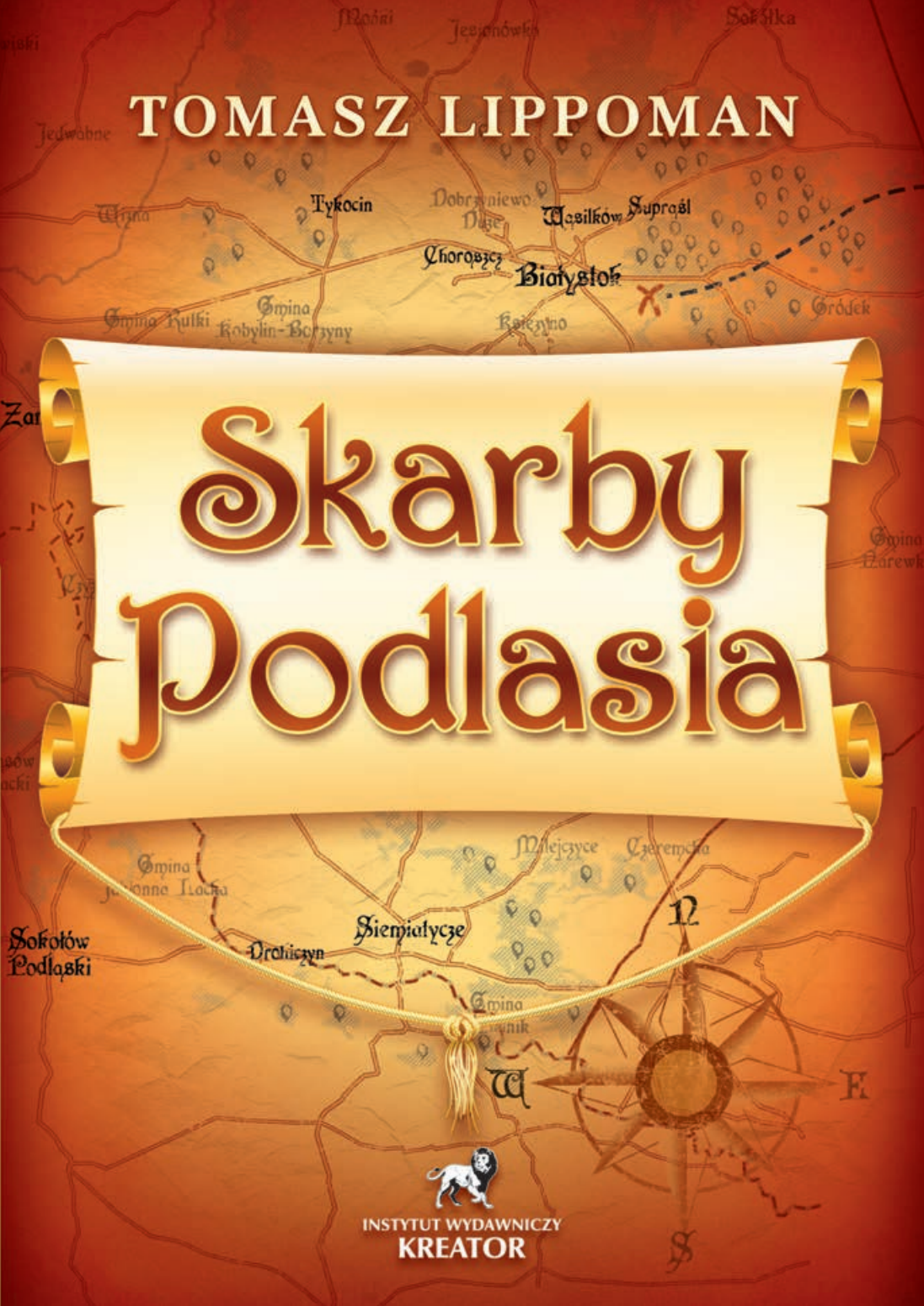

INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR

Skarby Podlasia

TOMASZ LIPPOMAN

Skarby Podlasia

INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR

Redakcja: Mariusz Warda
Skład: Piotr Pisiak
Projekt okładki: Piotr Pisiak
Zdjęcia: Tomasz Lippoman

Wydanie I
BIAŁYSTOK 2013
ISBN 978-83-7344-062-3

© Copyright by Instytut Wydawniczy Kreator, Białystok 2013
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or any part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR

15-762 Białystok
ul. Antoniuk Fabr. 55/24
85 662 92 67 – redakcja
85 654 78 06 – sekretariat
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt
85 654 78 35 – sklep firmowy – detal
www.iwk.pl e-mail: biuro@iwk.pl

PRINTED IN POLAND

Spis treści:

1. Babia Góra 7
2. Białystok/ Warszawa 29
3. Tykocin 37
4. Warszawa 49
5. Na działce 53
6. Wizyta u Matematyka 61
7. Korczew 67
8. Drohiczyn 95
9. Mielnik 107
10. Działka raz jeszcze 115
11. Puszcza Borecka 129
12. Choroszcz 147
13. Niemcy. Korekta licznika 159
14. Biebrza 167
15. Supraśl 177
16. Białowieża 189
17. Dolina Rospudy 199
18. Tablica 207
19. O Autorze 210

1. Babia Góra

Ta opowieść, zgodnie z zamówieniem mojego wydawcy, miała być sielanką opisującą uroki Podlasia i pleść się jakoś tak:

Nad drogą krętą obłok kurzu wisiał, choć wóz drewniany głęboko już w lesie. Słońce malowało czuby starych sosen. Trzciny szeptały. Parowały łąki.

W tumanie mgły wędrował Rokita, czart swojski, polny, cząstka tej płaskiej krainy; jak kamień polny, zakole rzeki, jak stare nadrzeczne młyny.

Zbierając materiał do książki natrafiłem jednak na człowieka, który wciągnął mnie w niezwykłą historię.

Trudno już zresztą na Podlasiu o takie młyny.

Dawno temu budowali je holenderscy menonici. Po drugiej wojnie światowej młyny znacjonalizowano, a z czasem, bądź to zniszczały, bądź trafiły do skansenów.

Nie ma też i kamienia z tajemniczymi runami. Robotnicy pokruszyli go i spożytkowali na budowę gminnej drogi.

Nie ma i zakola rzeki. W latach osiemdziesiątych, melioranci zasypali starą rzekę. Ja nie wiem po co?

W jednym z filmów Woody Allena usłyszałem taki mniej więcej dialog.

– Co powiesz o człowieku, który wierzy w teorię spiskową?

– Że jest spostrzegawczy? – odpowiedział na to Allen.

Pracując nad tą książką zrozumiałem ile prawdy może nieść w sobie taka, poniekąd żartobliwa, konwersacja.

Nie będzie to więc, drogi Czytelniku, kolejna opowieść o bajkowej krainie, na malowniczych kresach kresów.

Z drugiej jednak strony, jako literacki sybaryta, nie mogłem sobie odmówić i odrobiny przyjemności. Pożeglujemy więc niekiedy i w baśniowe dziedziny magicznego Podlasia.

– Interesują cię miejsca mocy – zaczął Jacek. – W Polsce opisano ich około stu, a na nieco szerszym świecie dużo więcej. Skoro jednak ta sprawa ma być tylko skromną częścią twojej książki, naświetlę ci temat w dużym skrócie. Wedle hinduskiej legendy Bóg Sziwa rzucił na Ziemię 7 magicznych kamieni, które emitują dobroczynną dla ludzi i zwierząt energię. Jeden z nich spadł na naszą ojczyznę, a konkretnie tam, gdzie dziś mamy Wawel. Tu promieniowanie Bovisa jest najsilniejsze i wynosi ponad 60 tysięcy jednostek. W zwykłych miejscach jest to zaledwie kilka tysięcy jednostek, czyli tyle samo ile emituje ludzki organizm. Kolejne polskie miejsca mocy, choć już nie związane z tą legendą, ale za to dobrze przebadane i udokumentowane znajdziesz między innymi w Białowieży, Supraślu, Świętej Wodzie, Tykocinie, Grabarce, w masywie Góry Ślęży, Malborku, Fromborku, Węgrowie.

Ale jadąc dalej z tą opowiastką. Większość gotyckich kościołów w Europie, najstarsze synagogi i cerkwie, były lokowane w miejscach mocy, znanych od niepamiętnych

czasów miejscach kultu Światowida, Swaroga, Peruna i innych przedchrześcijańskich bogów.

W religii już jest bowiem taka przedziwna ciągłość. Zmieniają się bogowie, ale miejsca kultu pozostają niemal niezmienne.

Podobnie rzecz ma się ze świętami. Wielkanoc to dawne słowiańskie Jare, z którego przetrwało malowanie pisanek, symbolu nowego życia.

Podobnie rzecz ma się z Bożym Narodzeniem. Słońce rodzi się 25 grudnia. Dni stają się coraz dłuższe. Chrystus zastąpił tu boga Mitrę i rzymskie bóstwo Sol Invictus, czyli Słońca Niezwyciężonego.

Noc Świętojańska to nic innego jak Kupała, wesołe słowiańskie święto mieszania krwi w plenerze i można by tak długo wyliczać.

Niemal wszystkie święta chrześcijańskie związane są z datami prastarych obrzędów rzymskich, greckich, celtyckich, słowiańskich.

– Zaduszki, to z kolei białoruskie Dziady lub celtycki Nowy Rok – wszedłem Jackowi w słowo. – Wniebowzięcie Maryi Panny zastąpiło święto Diany. Znam temat. Też czytałem Mitologię Słowiańską, Gieysztora.

– To już z samej książki, wiesz jak to było.

Dzień mocował się z nocą. Wokół nas cisza niemalże doskonała. Magiczna chwila z pogranicza jasności i ciemności, w której ponoć nawet Stwórca na moment zasypia.

Gdzieś ze wschodu spływał ku nam klangor żurawi. Od strony lasu zachrapała słonka. Chór kumaków wyśpiewywał swoje niekończące się um, um, um.

Dorzuciłem w dogasające ognisko brzozową szczapę i zerknąłem na Jacka.

Ten sam lekko kpiący uśmiech, błąkający się w kącikach wąskich ust i spojrzeniu szaro–niebieskich oczu. Niemal chłopięca twarz, szopa jasnych, falujących włosów, lekko przygarbiona szczupła sylwetka.

Dziwne, pomyślałem, facet ma ponad czterdzieści lat, a wciąż wygląda tak młodo.

– Mam cię, przyglądasz mi się.

– Zastanawiam się jak to robisz, że tak podejrzanie młodo wyglądasz. Diabłu się zaprzedałeś, czy co?

– Miejsca mocy. W tym główna tajemnica, spędziłem w nich mnóstwo czasu. To naprawdę działa. No i jeszcze yoga, uprawiam ją od siedmiu lat. A jak yoga, to i wegetarianizm, choć nie fanatyczny.

– Zostawmy to, mniejsza. Upływ czasu jakoś mnie nie przeraża. Prędzej czy później, i tak do piachu.

– I tu nie masz racji. Nasze życie zależy od tego, w jakiej formie się utrzymujemy. Można zamierać od trzydziestki, czterdziestki lub żyć, dobrze żyć niemal do końca.

– Niech ci będzie, opowiadaj dalej. W szkole na historii jakoś o tym nie uczyli. Mam na myśli lokacje kościołów w dawnych przedchrześcijańskich świątyniach, zabór tak zwanych pogańskich świąt przez Kościół rzymski.

– Historia to śmieszna dziedzina. W dużej mierze jest to jednak zbiór legend. Raz takich, raz innych, wszystko zależy od tego kto je zamawiał, kto płacił dziejopisom.

– I to mówi historyk?

– Najważniejsze w dociekaniu prawdy są dystans i krytyczne myślenie, a prawda i tak podobno nas wyzwoli, jak mawiał nasz znamienity rodak.

– A jak to było z tobą i Weroniką?

– To była i jest kobieta po prostu wyjątkowa, wręcz zabójcza.

Mieszanka subtelnego piękna ludzkiej samicy, wdzięku, niebywałej aksamitnej miękkości z iście męskim, kierunkowo działającym rozumem i umiejętnością bezwzględnego dążenia do celu. Niemal wszyscy faceci na naszym roku wodzili za nią cielęcym wzrokiem, choć nie była to typowa laska. Niewysoka, drobnej budowy, brunetka o piwnych oczach i karnacji typu kawa z mlekiem.

Niezwykle wdzięczna w sposobie poruszania, gestykulacji.

A jej głos, jej tembr głosu po prostu, po prostu hipnotyczny.

Gdy się już odezwała, zresztą niezbyt często, ale za to zawsze roztropnie, nikt jej nie przerywał, nie wchodził w słowo. Ludzie chcieli słuchać i tego co mówiła, i jak mówiła.

– Wiesz może coś o jej rodzinie, korzeniach?

– Ona była z tego naszego bliskiego-dalekiego wschodu, a dokładniej z Białegostoku. Rodziców straciła w dzieciństwie. Zginęli w wypadku samochodowym. Wychowywała ją ciotka ze strony ojca, nauczycielka matematyki i szachistka. Weronika ukończyła liceum plastyczne w Supraślu, wówczas najlepsze artystyczne liceum w Polsce. Później dostała się na Uniwersytet Warszawski, na Historię. Tam się poznaliśmy. Nie ukrywam, że też wodziłem za nią cielęcym wzrokiem.

Później jednak udało mi się ją obłaskawić. Byliśmy ze sobą, przez rok, dwa miesiące i dziewięć dni. Zdobyłem ją chyba przez tę swoją pasję odkrywcy, poszukiwania skarbów, a może przez to, że pierwszy na roku, a pewnie i całym wydziale miałem detektor metali. Sam go zresztą zbudowałem.

Na drugim roku zaczęła równolegle studiować matematykę. Szło jej bardzo dobrze. Miała nawet wstęp-

ną propozycje asystentury i to już pod koniec trzeciego roku. Nie ukończyła ani historii, ani matematyki. Po naszym pobycie w Babiej Górze rzuciła studia, zajęła się poszukiwaniami skarbów, i co gorsze przestała się zajmować mną.

To samo co nas zbliżyło, nas i rozdzieliło. Ironia losu.

Zresztą i tak mogę mówić o szczęściu, że tak długo mogłem się nią cieszyć.

Weronika mieszka obecnie z prześliczną Żydówką, fizyczką pracującą dla CERN-u. Oprócz zagadki, o której mówimy, moja była dziewczyna od lat poszukuje Bursztynowej Komnaty.

– Dla tego CERN-u koło Genewy?

– Dokładnie, z tego co wiem, Sara robi symulacje komputerowe eksperymentów prowadzonych w Wielkim Zderzaczu Hedronów.

– Ale utrzymujecie kontakt?

– Trochę tak, ale nie jest to łatwy kontakt. Po pierwsze wciąż siedzi mi głęboko za skórą, a po drugie pracujemy nad tą sama zagadką, a Weronika nie lubi pracy zespołowej. Od niemal dziesięciu lat szukamy tego co jest cenniejsze niż diamenty i złoto.

– Figurka kruka, o ile wiem, to właśnie złoto i szlachetne kamienie.

– Od dawna nie chodzi już o Skarb Mateusza, ani o tę rzekomo przeklętą przez złotnika figurkę. Zastanów się co jest tak naprawdę najcenniejsze na świecie?

– Dobra informacja?

– Właśnie, informacja.

– To już nic nie rozumiem.

– Zrozumiesz jak usłyszysz całą historię.

– Uzbrajam się w cierpliwość, ale powiedz tylko z jakiej parafii jest ta informacja.

– Z takiej, że możni i wpływowi tego świata od stuleci ją tropią i starannie ukrywają przed tym, co dzisiaj określamy jako opinia publiczna.

– Co w tych tablicach jest tak niebezpiecznego?

– Tego do końca jeszcze nie wiem. To oni mają wiele kawałków układanki. Ja na razie tylko jeden, a właściwie zdjęcie. Sama tablica jest już gigantyczną zagadką. Zawiera wszystkie naturalnie występujące na Ziemi pierwiastki, i co najdziwniejsze posiada niewytłumaczalne cechy fizyczne, a w szczególności twardość. Nic nie jest w stanie naruszyć jej struktury, łącznie z wiązką najwścieklejszego lasera. Przy obecnej technice nie jesteśmy w stanie wytworzyć takiego stopu. A te tablice, a z pewnością jedna z nich, liczy sobie co najmniej kilkaset, a najpewniej wiele tysięcy lat. Od co najmniej pięciuset lat tablice są tropione i ukrywane. Dokopałem się śladów tej historii miedzy innymi w listach Leonarda da Vinci, Marii Skłodowskiej, Newtona, Darwina, Einsteina. O tym jednak opowiem ci później. Zacznę od Skarbu Mateusza, bo te sprawy w jakiś sposób się łączą. Samo tło początków, nazwijmy to kariery Mateusza, jak wiesz, opisał twój pradziad w książce pod tytułem Rzeź Humańska, wydanej w 1905 roku. Pracując nad sprawą tablic, czytałem tę książkę wielokrotnie. Przez pewien czas miałem nadzieję, że tam właśnie znajdę klucz do rozwiązania zagadki tablic Atlantów.

– Czytałem tylko raz i to dość pobieżnie.

– Posłuchaj więc, tym razem uważnie.

Był rok 1768. Ukraina Zaporoska wrzała. Na terenie wschodniej Polski w owych czasach częste bywały na-

pady hajdamaków, czyli band grabicieli pod ich przywódcami, nazywanymi watażkami. Na czele rebelii stanęli niejacy Żeleźniak i Gonta, którzy po rzezi wielu wsi i mniejszych miasteczek, przystąpili wraz ze zbrojnymi bandami do oblężenia Humania.

Mieszkańcy miasta, omamieni obietnicami Gonty i Żeleźniaka otworzyli bramy grodu, nie wiedząc, że niechybną śmierć na swe głowy sprowadzają.

Zaczęły się więc srogie mordy. Ksiądz Wadowski, przy ołtarzu spisą został zakłuty, jednych obnażano, drugich siekierami rozcinano, trzecich rozstrzelano, innym nożami, dzidami, drągami śmierć zadawano, rozdzierano niemowlęta.

Rzeź była straszna i trwała przez wiele dni i nocy.

Dość rzec, że w przeciągu zaledwie kilkunastu dni ponad dwadzieścia tysięcy ludzi wyzionęło ducha w krwawej jatce, opętanego rządzą krwi ukraińskiego żywiołu.

Z czasem sytuację opanowano. Większość zbrodniarzy została schwytana i przykładnie ukarana zgodnie z obowiązującym wówczas prawem.

Nadmienić można, że nie były to kary dziś określane jako humanitarne. Niektórym jednak udało się zbiec w stepy. Inni ruszyli na zachód do Rzeczpospolitej. Był między nimi Mateusz, ani Ukrainiec, ani Polak choć nosił chrześcijańskie imię. Mówiono, iż ród jego wywodził się gdzieś z Dalekiego Wschodu, z terenów leżących nad Amurem, oddzielającym obecnie Rosję od Chin. Po długiej i forsownej ucieczce z Ukrainy Zaporoskiej, Mateusz wraz ze swymi kamratami dotarł do wschodnich rubieży Puszczy Białowieskiej, która choć królewszczyzną wówczas była, nie posiadała należytej ochrony wobec ogólnego zamieszania w Rzeczpospolitej. Tu, jak się

okazało, znaleźli swój azyl. Początkowo łotrzy zapadli w najciemniejsze białowieskie mateczniki, by wylizać się z ran i zebrać nadwątlone długą ucieczką siły. Z czasem odżywili się leśnym miodem i zwierzyną, która obficie zamieszkiwała tę odludną krainę. W owym czasie biegł nieopodal ważny szlak handlowy z Grodna do Brześcia nad Bugiem. Kupcy ruscy, polscy, weneccy wędrowali gościńcem przez Krynki, Białowieżę, Kamieniec, wioząc różne towary, w tym złoto i drogocenne precjoza. Łotrzy zaprawieni w wojennym rzemiośle, i nic innego poza grabieżą w gruncie rzeczy nie potrafiący robić, wkrótce zaczęli urządzać zasadzki w puszczańskich fragmentach szlaku. Łupili kupców, nierzadko ich mordując, a z opornych pasy żywcem darli. Nie oszczędzali nawet niewiast i dzieci, którym przyszło w tym niespokojnym czasie w podróż wyruszyć.

Po kilku latach zbrodniczej działalności, Mateusz wraz z kamratami zgromadził wielkie bogactwo. Złoto, biżuteria, drogocenna broń, wszystko to padało łupem bezlitosnych rzezimieszków.

Praktyka ta jednak nie trwała wiecznie Mateusz i jego banda trafili ostatecznie pod topór kata. Przed egzekucją badano ich długo i dokładnie.

Zbrodniarze nie zdradzili jednak miejsca ukrycia skarbu. O samej zaś figurce najwięcej wie pan Henryk, mój wielce zaprzyjaźniony warszawski antykwariusz. Człowiek przedwojenny, erudyta, chodząca encyklopedia. Mam nadzieję, że wkrótce was poznam.

Geneza figurki kruka sięga głęboko w zamierzchłe czasy starożytnej Persji. Gdzieś w początkach XIV wieku szczerozłotego kruka zamówił jeden z możnowładców z szyickiej dynastii Safawidów.

Cenny i ponoć niezwykłej urody kruk, miał być darem dla Timura, który w owym czasie zbrojnie najechał Persję, czyniąc tam wielkie spustoszenia. Próba obłaskawienia najeźdźcy, którego mauzoleum do dziś można podziwiać w Samarkandzie, nie powiodła się.

Wkrótce jednak feralna figurka rozpoczęła niejako własny żywot.

Cenny dar, który miał obłaskawić najeźdźcę i być formą lenna podbitego plemienia, wędrował od tej pory przez dzieje i kontynenty szlakiem pełnym łez, rozpaczy i gwałtownych śmierci. Rzemieślnik, znakomity złotnik, wykonał zamówienie możnowładcy w terminie i bardzo rzetelnie. Rzeźba, której stworzenie zajęło artyście kilka miesięcy i pochłonęło wiele cennego kruszcu oraz drogocennych kamieni, udała się doskonale. Nadszedł dzień wypłaty za wykonaną pracę.

I w tym momencie zaczęły się kłopoty. Władca popadł w międzyczasie w finansowe tarapaty, a może nigdy nie zamierzał wynagrodzić rzemieślnika. Kto go tam wie, dawno temu to było.

Dość rzec, że dla twórcy kruka dzień wypłaty stał się początkiem koszmaru. Niewypłacalny kalif odpłacił artyście za jego trud powolną śmiercią w lochu. Pretekstem do wymierzenia straszliwej kary miały być rzekome kontakty rzeźbiarza z siłami nieczystymi. Rzemieślnik konał długo, wzywając na pomoc wszelkie duchy, które mogły przynieść szybką śmierć. Wtedy najpewniej szczerozłota figura została przeklęta. Długi jest łańcuch posiadaczy tego kunsztownego przedmiotu. Różne było ich pochodzenie, marzenia i pozycja społeczna. Jedno jest jednak pewne. Wszystkich znanych posiadaczy fi-

gurki, wkrótce po wejściu w jej posiadanie, połączyło to samo fatum.

Wędrówka feralnego przedmiotu przez dzieje i krainy była pasmem dramatów, strasznych śmierci i ogromnego cierpienia. Ostatnim udokumentowanym posiadaczem klejnotu był kupiec wenecki Marcello Bicariani, wiozący skarb z Genui do Polski około roku 1770.

Tu jednak ślad się urywa. Gdzieś pomiędzy Krynkami, a Białowieżą wszelki ślad po Włochu zaginął. Wielce jest możliwe, iż na swym szlaku napotkał nieszczęśnik bandę Mateusza. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że zaledwie kilka miesięcy później Mateusz wraz z kamratami położył głowę pod topór kata.

Jak ci wiadomo z wcześniejszych ustaleń, legenda głosi, że każdy z posiadaczy feralnego kruka zginie, nie dożywając następnych urodzin.

Sprawę tablic Atlantów i fatum kruka łączy między innymi postać tego weneckiego kupca. Tak się bowiem dziwnie składa, że był on nie tyle kupcem, co agentem zakonu Jezuitów, a jego wyprawy kupieckie były w gruncie rzeczy misjami szpiegowskimi.

Zresztą w domniemanym miejscu jego zaginięcia, Babiej Górze, odnaleźliśmy jedyną, jak do tej pory, tablicę.

– A tablica, sama tablica, co zawiera, jakie informacje?

– To niemal same zagadki. Po pierwsze, jak już ci mówiłem jest wykonana ze stopu, którego przy dzisiejszej technice w żaden sposób nie jesteśmy w stanie uzyskać.

Badał ją mój kolega ze studiów niejaki Libera, bardzo uzdolniony fizyk. Doktorat zrobił w wieku 28 lat. I ten mędrzec, badając właściwości fizyczne mojego znaleziska zupełnie zgłupiał.

8. Drohiczyn

W drodze do nieodległego Drohiczyna poczułem wilczy apetyt, choć zwykle pierwszy posiłek jadam w środku dnia. Taki już mam zwyczaj bowiem, że wciągam obiad ze śniadaniem za jednym zasiadem.

– Nie wiem jak wy, ale ja muszę coś pożreć.

– Szkoda czasu na żarcie – odparł Jacek. – Przygoda czeka.

– Popieram pomysł ze śniadaniem. Leżało tak długo w ziemi to jeszcze poleży – poparł mnie Bańka.

– A ty, Bańka, coś nagle taki nienażarty – odparował Jacek?

– Muszę uzupełnić kilkutygodniowe niedobory, czego się czepiasz tyranie ty jeden?

– Przegłosowany – rzuciłem nie bez satysfakcji.

Zatrzymaliśmy się w centrum pod samym barem, a właściwie niewielką restauracją, specjalizującą się w kuchni polskiej i kresowej.

Zamówiłem miks pierogowy i już z czystego łakomstwa babkę ziemniaczaną. Chłopcy poszli w moje ślady.

Pierogi, wiadomo, nie hamburgery, trzeba poczekać.

Jacka nie trzeba było długo namawiać, by opowiedział co nieco o zabytkach Drohiczyna.

– Mamy w Polsce cztery miasta o tradycjach grodów koronacyjnych. Pierwszym jest oczywiście Gniezno, a Kraków dopiero trzecim... Drugie miejsce zajmuje Drohiczyn

nad Bugiem... Tu w 1253 roku, z rąk wysłannika papieskiego, otrzymał koronę Rusi książę Daniel Romanowicz, prawnuk Bolesława Krzywoustego i jedyny, jak dotąd, król w historii Rusi. Chociaż czasy potęgi miasto ma już za sobą, to jednak ślady wielkiej historii spotyka się tu na każdym kroku. Wędrując uliczkami 2,5-tysiącznego Drohiczyna cofamy się w czasie, obcując co chwila z zabytkowymi budowlami. Nad miastem dominuje Góra Zamkowa – dawne grodzisko, dziś najlepszy w okolicy punkt widokowy. Przy dobrej pogodzie, spoglądając na południe, dostrzeżemy pałac w Korczewie. Jak głosi legenda, pod Górą, w złotym grobie pochowany jest ostatni z wodzów jaćwieskich, Kumata.

W XIII wieku, gdy o ziemię drohiczyńską rywalizowały Ruś, Mazowsze i Litwa, Jaćwingowie zapuszczali się tu na tyle często, że zrodziło się przekonanie, iż Drohiczyn jest stolicą Jaćwieży. Ziemie te przeżywały także najazdy tatarskie i krzyżackie.

Z biegiem dziejów miasto przechodziło kolejno pod panowanie Litwy, Rusi, Austrii i wreszcie Polski. Złote czasy Podlasia Nadbużańskiego to wiek XV i XVI, przebiegał tędy wówczas „szlak królewski", łączący Wilno i Kraków oraz szlak wodny z Lwowa do Gdańska. Ze szczytu Góry Zamkowej roztacza się spektakularny widok na zakole Bugu z piaszczystymi wyspami i białe mury katedry – siedziby biskupiej oraz seminarium duchownego z XVII wieku. Katedra pod wezwaniem Świętej Trójcy jest jedną z czterech drohiczyńskich świątyń. Wszystkie mają charakter barokowy, a najciekawszą jest obecnie odbudowywany kościół i klasztor Sióstr Benedyktynek z XVIII wieku. Jest to zabytek klasy zerowej o unikalnej elewacji, uważanej przez wielu historyków sztuki za jedną z najpiękniejszych w Eu-

ropie. Kolejną ciekawą budowlą w Drohiczynie jest zespół klasztorny Franciszkanów z okazałą wieżą i dzwonnicą. Późnobarokowa świątynia wyróżnia się bogato zdobionym wnętrzem. W zachodniej części miasta, przy ulicy Benedyktyńskiej, stoi cerkiew prawosławna pod wezwaniem Świętego Mikołaja. W pochodzącej z 1826 roku świątyni zwraca uwagę bogaty ikonostas, a w szczególności ikona przedstawiającą Zesłanie Ducha Świętego.

Wykład przerwała Jackowi młodziutka i bardzo ładna kelnerka, z tacą pełną pierogów.

Dziewczę, o urodzie świeżej jak majowy poranek, wyglądało na dziewiętnaście wiosen. Wiotka, niebieskooka blondynka o jasnej karnacji. Zdawać by się mogło czysty typ słowiańsko–skandynawski.

Lekko wystające kości policzkowe i nieznacznie skośne oczy zdradzały jednak, że w jej żyłach płynęła i odrobina krew polskich Tatarów, osadzanych setki lat temu na tym pograniczu, dla obrony Rzeczpospolitej.

Jacek zaczął tokować.

– Anioł do nas spłynął w historycznym Drohiczynie, i choć to nie cud niby, zważywszy na bardzo chrześcijańską historię grodu, to jednak zawsze przemiła niespodzianka. A do tego anioł przybył ku nam z półmiskiem pełnym tych naszych słowiańskich pierogów. Cud to więc jednak jest najprawdziwszy. Cud to nad cudami.

Panna nieco pokraśniała. Lubo z zadowolenia, lubo z zawstydzenia czy zainteresowania. Jacek wstał, chwycił dziewczę za dłoń, swoim wilczym sposobem i z żartobliwą powagą oświadczył.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. Jacek Zdrodowski. A to moi przyjaciele. Tomasz i Eustachy. Jest mi bardzo przyjemnie.

– Julia Popławska, bardzo mi miło – rezolutnie odrzekło dziewczę.

Nie przepadam za takimi akcjami, chociaż kiedyś i owszem, i owszem, kelnerki jak najbardziej, jednak lata, dystans lat i tak dalej. Skinąłem więc tylko głową, przywołując na twarz uśmiech z rodzaju „dobry wujek".

Poczułem jednak satysfakcję jako fizjonomista, czy też może bardziej antropolog. Nazwisko Popławski bardzo często powtarza się na nagrobkach w Kruszynianach, głównej nekropolii polskich Tatarów.

Jacek jeszcze chwilę tokował, coś tam nawet poszeptał w kształtne uszka dziewoi. Dowiedzieliśmy się, że Julia studiuje w Warszawie dziennikarstwo i marzy o tym, by kiedyś przeprowadzić wywiad z Dalaj Lamą.

Gdy już piękność się oddaliła zabraliśmy się żwawo, do już nieco przestygniętych pierogów.

Były wyborne. Trudno ocenić, które lepsze. Z mięsem, kapustą i grzybami, czy ruskie.

Po kilku minutach Julia wniosła babkę ziemniaczaną. Byliśmy jednak już tak obżarci, że poprosiliśmy o zapakowanie specjału.

Po chwili nimfa powróciła z siatką pełną tej kulinarnej poezji. Gdy ociągaliśmy się z odejściem, nie chcąc tracić chwili pięknej, co tak krótko trwała, nieco chyba już ośmielona zagaiła.

– Na dłużej do nas przyjechaliście, czy tylko jesteście przejazdem?

Tym razem postanowiłem nie dopuszczać Jacka do głosu.

– Obawiam się, że tym razem na krótko, a żałuję, bo okolica wyjątkowo piękna, chętnie bym dłużej został.

– To moje rodzinne strony, naprawdę kocham te miejsca – odparła z pewnością siebie.

– A co dla ciebie tu tak szczególnego – z nieco kpiącym uśmieszkiem zapytał Jacek?

Dziewczyna spojrzała na niego, jakby pierwszy raz go widziała i pewnym spokojnym głosem zaczęła mówić.

– Bug to coś zupełnie wyjątkowego i to nie tylko na skalę Polski, ale i całego kontynentu. Duża, dzika rzeka, a do tego niemal zapomniana przez meliorantów, nadal płynie łagodnie meandrującą doliną, zupełnie jak dawniej. Przyroda Nadbużańskiego Podlasia to uroki łąk rozległych po horyzont, śródpolne kępy drzew, rogale starorzeczy, fragmenty dawnych puszcz, chaty drewniane, cerkwie jak z XIX-wiecznych malowideł. Nie mało tu także wspaniałych zabytków. To znaki dawnej wielkości tego regionu, wyrosłych w początkach zeszłego tysiąclecia Drohiczyna, Mielnika, Niemirowa, Janowa Podlaskiego. O uroku tego mojego Podlasia decyduje chyba jednak najbardziej krajobraz. Łagodnie sfalowane równiny, niewielkie poletka gęsto obrysowane miedzami, kępy brzóz, zagajniki sosnowe, podmokłe łąki i leniwie wijące się drogi. Sterta polnych kamieni, grusza na miedzy o przedziwnie kulistej koronie, wcale liczne młyny wodne i wiatraki, kapliczka przydrożna zwieńczona kutym krzyżem, zarastające zakole rzeki w kształcie rogala, oto urocze, acz nazbyt imponujące widoki, którymi można się tu raczyć do woli.

Stałem urzeczony opowieścią młodej piękności. Nawet Jacek tym razem zaniemówił.

– Na pewno wrócimy, przyjadę tu na dłużej – obiecałem.

– Zapraszamy – rzuciła beztrosko, najwyraźniej zadowolona z wrażenia jakie wywarła na dwukrotnie starszych od niej mężczyznach.

– Aj, te nasze kresy – rzucił Bańka – Wystarczy chwila i czujesz się jak wśród przyjaciół.

Tu wciąż, *gość w dom, Bóg w dom*, a w dzisiejszej Warszawie gość w dom, chowaj srebrne łyżeczki.

– Oj tam, oj tam – wtrąciłem. – Obecna Warszawa to przecież niemal sami imigranci, w dużej mierze ze wschodu, z Podlasia, Lubelszczyzny.

– Niby tak, ale obecna Stolica zmienia człowieka. Ludzie jakoś chamieją, a może już tacy tu przybywają. *Homo homini lupus est*.

– Wyjątkowo nie trafione średniowieczne porzekadło – zacząłem. – W watasze wilków stosunki są niezwykle przyjacielskie. Kary za wykroczenia wobec stada wcale nie są krwawe, a jak już robi się naprawdę źle, jak samiec alfa po raz kolejny wraca z tropienia bez sukcesu i zaczyna się robić nerwowo, wiecie co on robi?

– No, co? – spytał Bańka.

– Siada i zaczyna wyć. Po chwili dołączają do niego pozostali członkowie watahy.

I tak sobie wyją, ale nie jakoś bezładnie, tylko na głosy, prawdziwy chór się z tego robi. I po jakiejś pół godzinie takiego śpiewania, nastroje się znacznie poprawiają. Kryzys mija.

A co ciekawe, wymysł ewolucji, na głodzie u wilków zmysły się wyostrzają i rośnie szansa na złapanie jakiegoś zwietrzałego tropu i, co za tym idzie, rośnie szansa na solidną kolację.

– Muzyka łagodzi obyczaje – skonstatował Jacek – ale my tu takie tam pogaduchy, a czas ucieka. No chłopy bierzemy się do roboty, dosyć tego dobrego.

Ruszyliśmy jeepem zgodnie ze wskazaniami GPS-u.

Bańka za kierownicą. Jacek obok, ja – skromny dziejopis – z tyłu.

Wskazania z satelity doprowadziły nas na przedmieścia Drohiczyna.

Zatrzymaliśmy się na chodniku przy nowoczesnej, nie za dużej i nie za małej, biało otynkowanej willi, o nowoczesnym, przyjemnym dla oka kształcie.

– Oj nie dobrze – zajęczał Bańka – z namiaru wynika, że to tu, w ogródku, albo pod domem.

– Co ty Bańka marudzisz, damy radę, nie z takich opresji pan Onufry Zagłoba zwycięsko wychodził – pocieszał Jacek.

Nacisnąłem domofon umocowany przy furtce. Cisza. Po chwili przy sąsiednim płocie objawił się sąsiad, około sześćdziesiątki, nijaki facet w dresie.

– Doktora nie ma. W szpitalu, albo w przychodni. Będzie najwcześniej po szesnastej.

– Bardzo panu dziękuję – ze zwykłą galanterią odparł Jacek.

– Dobra chłopy, mamy sporo czasu, zwiedzimy Drohiczyn.

I ruszyliśmy szlakiem zabytków wcześniej już opisywanych. Było pięknie i historycznie. Około piętnastej ponownie zawitaliśmy do znajomego baru.

Zamiast Julii przy stoliku pojawił się jakiś chudy, nieco krostowaty młodzian. Zamówiłem flaki z białym pieczywem. Były bardzo dobre, na gęsto, jak lubię. Bańka wziął udko z frytkami i sałatką z pomidorów. Jacek ruskie, z białą kapustą, jako nieortodoksyjny wegetarianin.

Wprost z baru pojechaliśmy pod willę doktora. Po dwóch dzwonkach odezwał się brzęczyk, a wraz z nim

w progu ukazał się facet na oko pięćdziesięcioletni, niewysoki, ze szpakowatą brodą.

– Panowie do mnie? Prywatnie przyjmuję we wtorki i czwartki.

– My nie w sprawach medycznych – odparł Jacek.

– Więc o co chodzi?

– To dość długa historia, jeśli pan pozwoli wejdziemy i wyjaśnię. Nazywam się Jacek Zdrodowski i jestem historykiem. A to moi przyjaciele i w pewnym sensie asystenci, Tomasz i Eustachy.

– Wejdźcie panowie, zapraszam.

Furtka uchyliła się. Weszliśmy. Ścieżka, wysypana jasnym żwirem, prowadziła do niewielkiej jednopiętrowej willi przez zadbany ogród. Po obu stronach pyszniły tulipany. Bordowe, jasnoczerwone i niemal czarne, chyba wszystkie z Holandii.

– Wejdźcie proszę – zachęcał gospodarz.

Dom urządzony był skromnie i gustownie zarazem. Na ścianach reprodukcje mistrzów renesansu i polskiego romantyzmu, nieco mebelków z międzywojnia, ładny dywan w salonie, chyba perski.

– Co panów do mnie sprowadza?

Jacek zaczął. W ciągu kilkunastu minut opowiedział historię tablic, niejako mimochodem wspominając o trudnościach, jakie napotkał ze strony sił reakcyjnych.

– I uważacie, że kolejny ślad prowadzący do rozwiązania tej zagadki znajduje się w moim ogrodzie?

– Takie są współrzędne geograficzne, które udało nam się odczytać z pierwszej odnalezionej w Babiej Górze tablicy – odparł Jacek.

– To kopcie, sam jestem ciekaw co z tego wyniknie.

Jacek wrócił po szpadel do samochodu. W ogródku, z użyciem GPS-u, ustalił miejsce przecięcia się współrzędnych i zaczął kopać. Po kilkunastu minutach zmieniłem szefa. Nie minęło wiele czasu, gdy szpadel wydał znajomy dźwięk. Nerwowo okopywałem kamień, o podobnych gabarytach jak ten z Korczewa. Zajęty robotą nie słyszałem rozmów z nad skraju wykopu. Gdy tylko głaz obnażył swe brzegi usłyszałem jednak dźwięk motoru. Bańka wjechał jeepem do ogródka. Dalej już z pewną wprawą opletliśmy kamień liną i bez komplikacji wyciągnęliśmy z dołu. W centralnej części dziury było to, czego oczekiwaliśmy, kolejny meteoryt. Niemal identyczny z tym, który wczoraj wykopaliśmy.

– Dawaj go Tomek – zawołał Jacek.

Bańka podał mi rękę. Z umiarkowanym stękaniem wydobyłem się z dołu. Po chwili całą czwórką pochyliliśmy się nad znaleziskiem.

– A ja podejrzewałem, że to jakaś ukryta kamera – nieco nerwowo rzekł doktor.

– Nic z tych rzeczy, to najprawdziwszy list z przeszłości.

– Chodźmy do domu – zaproponował gospodarz. – Oczyścimy znalezisko, obejrzymy pacjenta od stóp do głów.

Jacek obmył meteoryt pod zlewem, nerwowo ususzył brzegiem koszuli i położył na mahoniowym biurku w salonie. Jak na komendę pochyliliśmy się nad znaleziskiem.

– Coś niesamowitego, od lat gram w totka. Co tydzień, albo częściej ktoś trafia główną wygraną, ja do dzisiaj nic, a to, to jest taka super kumulacja. Aż trudno w to uwierzyć. Z drugiej jednak strony nie powinno dziwić.

Nasz gatunek liczy sobie co najmniej milion lat, a historia cywilizacji sięga tak naprawdę kilka, kilkanaście lat wstecz. – Twarz doktora promieniała. – Co ze mnie za gospodarz.

– Kawa, herbata, może głodni jesteście?

– Serdecznie panu dziękujemy, ale przed chwilą jedliśmy obiad, w tym barze na rynku.

– No, ale herbaty chyba nie odmówicie?

Doktor zniknął w kuchni. My wgapialiśmy się w znalezisko.

– Jest piękny – poważnie rzekł Jacek.

Pokiwaliśmy głowami, nie odrywając oczu od naszej zdobyczy.

Doktor postawił szklanki z parującą herbatą na dębowym stole przykrytym pięknym, haftowanym w chabry, obrusem. Jacek na środku położył meteoryt.

– Marny ze mnie kucharz, ale zaraz jakiś makaron z sosem pomidorowym wypichcę.

– Naprawdę dziękujemy, i tak zajęliśmy panu mnóstwo czasu. Pozamiatamy i jedziemy dalej. Jutro kolejne poszukiwania. W Mielniku.

– Nalegam, to nie po polsku, by gości głodnych z domu wypuszczać.

– Niecałe trzy godziny temu nakarmili nas w barze na rynku, więc naprawdę bez ceregieli dziękujemy – rzekł Jacek.

– Dobrze, ale pozostaniemy w kontakcie, bardzo chcę się dowiedzieć o wynikach waszych poszukiwań, o tym co odnajdziecie dalej, o trudnościach, chętnie wam pomogę, w miarę moich możliwości.

– Obiecuję, że będzie pan pierwszy, który się dowie o naszych postępach.

Jacek z doktorem wymienili się numerami telefonów. Ja z Bańką pozamiatałem w ogródku.

Około dwudziestej dojechaliśmy do Mielnika.

INSTYTUT WYDAWNICZY
KREATOR
www.iwk.pl

Tomasz Lippoman – biolog, organizator turystyki, przewodnik, dziennikarz, znawca folkloru. Jest twórcą wielu artykułów prasowych i internetowych poświęconych przyrodzie. Autor m.in. bestsellerowej książki „Legendy Podlasia".

Czy na Podlasiu jest ukryty skarb? Jeśli tak, to jak go znaleźć? I kto może chcieć nam w tym przeszkodzić?

Publikacja opisuje przygody grupy znajomych, którzy postanowili odnaleźć ukryty przed wiekami skarb. Ich perypetie okraszone zostały mnóstwem kunsztownych opisów wyjątkowej przyrody tego regionu. Autor nie pozwala nam nawet na chwilę złapać oddechu i prowadzi w szaleńczym tempie przez przygody mające miejsce w Tykocinie, Choroszczy, Białymstoku, Supraślu i innych urokliwych miejscach ukazujących wyjątkowość północno-wschodniej Polski. Tym samym prezentuje unikalne połączenie powieści przygodowej z przewodnikiem krajoznawczym.

Podlasie zostało przedstawione jako region pełen miejsc, o których można opowiedzieć interesujące historie i podania. Dzięki znakomitej narracji dasz się porwać opowieści, w której historia miesza się ze współczesnością. Odkryj prawdziwe „Skarby Podlasia".

Polecamy:

Patroni:

kurier Poranny

Cena: 29,20 zł
ISBN 978-83-7344-062-3